

Wiesław Juszcak: Notatnik z Malty

Jest dwunasta. Na wprost mnie rozżarzona biel zatapia i pochłania kontury Filfli. Tak chciałbym, żeby to, w czego jakby samym wnętrzu jestem, ogarnęło mnie jeszcze mocniej i zapanowało nade mną zupełnie. Próbuje odsuwać myśli, które błądzą w inne strony, zakłócając bierne trwanie. Odpychać słowa, które cisną się natarczywie, bym zatrzymał to, co czuję, określając i nazywając – pisał Wiesław Juszcak w „Notatniku z Malty”, którego fragment prezentujemy.

15 września

Po raz drugi byłem dzisiaj w położonych obok siebie dwu świątyniach na samym południu. Są to, mówiąc ściśle, dwa zespoły świątyń, powstałe w drugiej połowie czwartego tysiąclecia. Mnajdra i Haġar Qim. Wzniesiono je na wąskim, równoległym do wybrzeża tarasie, skośnie spadającym do morza. Z tego plateau wzrok nieustannie obraca się ku Filfli – samotnej skale raczej niż wyspie, sterczącej niby zamek z poszarpaną koroną krenelaży. Filfla leży dość daleko, jakby w pół linii między widnokretem a stokiem. Przy łagodniejszym świetle wygląda jak topaz wpięty w głęboki błękit zawsze pustego tu morza. Gdy niebo jest czyste, a słońce staje w zenicie, skała jest ciemnym punktem w oślepiającej bieli, która zaciera horyzont i stapia w jedno powietrze i wodę. Granica między nimi zarysowuje się dopiero stopniowo, kiedy kierujemy spojrzenie w prawo lub w lewo – na zachód albo na wschód. Filfla, widziana ze świątyń, wyznacza południe.

Aura niesamowitości snuje się wokół tej wysepki. Jedną historię opowiadał maltański przewodnik. Para turystów postanowiła spędzić na Filfli jakiś czas. Nie wiadomo, jak długo mieli tam być. Popłynęli łodzią z namiotem. Nie wiem, ile czasu minęło, zanim ktoś, może zaniepokojony, wybrał się tam – albo ktoś, przypadkiem mijając skałę, coś zauważył. Znaleziono ich martwych. Nie, nie popełnili samobójstwa. Uśmierciło ich to miejsce. Ta wyspa zabija. Przewodnik próbował wyjaśniać to warunkami panującego tam klimatu. Czuło się, że jednak sam nie bardzo wierzy w takie wyjaśnienie.

*Gdy niebo jest czyste, a słońce
staje w zenicie, skała jest
ciemnym punktem w
oślepiającej bieli, która
zaciera horyzont i stapia w
jedno powietrze i wodę*

Haġar Qim i, leżąca
nieco niżej, Mnajdra
tworzą
„archeologiczny
park”, jeden z
najważniejszych w
tym raju
archeologów, jak się
Maltę nazywa.

Bezpośredni autobus kursuje tu regularnie z Valletty, ale znaczna większość pasażerów nie dojeżdża do końca, tylko wysiada na przedostatnim przystanku, żeby zejść na plażę przy Błękitnej Grocie, ku której spada głęboki kanion, wydrążony przed wiekami przez dawno już wyschniętą rzekę. Na tej wyspie nie ma rzek, tak jak dawno nie ma śladu po gęstych lasach, porastających ją może jeszcze w epoce brązu.

Do świątyni tedy dociera zwykle niewiele osób i rzadko kto zatrzymuje się tu dłużej. Można więc spędzić wiele godzin w spokoju i cierpliwie uczyć się tej splątanej i trudnej do odczytania „materii ruin”. Każdy z

dwu zespołów zamyka ogrodzenie, a oba łączy wygodny chodnik, biegnący wzdłuż skalnego wybrzeża.

Przy wyższej, większej świątyni (późniejszej, datowanej na lata około 3000) teren obsadzono drzewami i krzewami. Mnajdrę otacza wyjątkowo bujna tu roślinność. Gąszcz opuncji, wielkie agawy, płożące się pnącza, które gdzieś wchodzi w ciosy murów, nawet wino o dojrzałych teraz, słodkich gronach. W wysokiej trawie, między dokoła porozrzucanymi głazami, głos cykad przebija i rozrywa powietrze, potęgując ciszę.

Siedzę skale ponad nieodparcie żywym „ciałem” organicznych w narysie i jakby zrosniętych ze sobą trzech sanktuariów, z których tysiąclecia nie zdołały zetrzeć śladów mistycznej pieczęci.

Jest dwunasta. Na wprost mnie rozżarzona biel zatapia i pochłania kontury Filfli. Tak chciałbym, żeby to, w czego jakby samym wnętrzu jestem, ogarnęło mnie jeszcze mocniej i zapanowało nade mną zupełnie. Próbuje odsuwać myśli, które błądzą w inne strony, zakłócając bierne trwanie. Odpychać słowa, które cisną się natarczywie, bym zatrzymał to, co czuję, określając i nazywając. Ze słowami trudniej walczyć. Z daleka pamięć wydobywa w końcu formułę, która jednak porządkuje coś i pomaga skupić rozproszenie, wskazuje kierunek namysłowi – *partage de midi*.

Kiedyś pytałem profesor Irenę Sławiską, jak przełożyłaby, jak rozumie to wyrażenie. U Claudela oczywiście. Według niej (a w tym względzie bardziej nie ufałbym nikomu) *midi* znaczy tu „południe życia”. Wszyscy

*Siedzę skale ponad
nieodparcie żywym „ciałem”
organicznych w narysie i jakby
zrosniętych ze sobą trzech
sanktuariów, z których
tysiąclecia nie zdołały zetrzeć
śladów mistycznej pieczęci*

bohaterowie
dramatu znajdują się
w tym zwrotnym,
niebezpiecznym
punkcie: *nel mezzo
del cammin*. W
chwili przełomu.
Zatem *partage de
midi* to „przełom
południa”
najprościej. Ale w
sztuce jest też

żeglowanie w skwarze południa po morzach Południa. Postaciom przeżywającym przełom i wewnętrzne rozdarcie kładzie się na barki coś przytłaczającego zewnątrz. Zewnętrzny ciężar nie jest fizyczny tylko i nie tylko fizycznie odczuwany. Ma także duchowy wymiar, a przez to ma w sobie coś upiornego, demonicznego. Przez to, dalej, tytuł *Partage de midi* można pośrednio czy metaforycznie oddać przez: „demon Południa”. Demoniczne jest bowiem owo rozdarcie „w środku życia”, „na przełomie życia”, w tym raczej stanie niż chwili, którego nieuchwytność osacza tu semantyczne wibrowanie słowa *partage*.

Więc broniłem się przed słowami niepotrzebnie. Przyszły właściwe we właściwym momencie. Naprowadzające. Tłumaczące coś. Pomogły zobaczyć coś z oddalenia. Spojrzałem na odległą skałę, ostrzej teraz rysująca się na ciemniejszych wodach. Ogarnął mnie spokój. Demon odchodził.

16 września

Zanurzenie. Zapominamy o tym, co wyrwać nas może z ciągłej pośredniości, w jakiej żyjemy, obcujemy z rzeczami, poznajemy je. Zwiedzanie (...), oglądanie dzieł w muzeach, na przykład, jest dzisiaj często dalszym ciągiem kartkowania albumów – o czym dobrze wiemy. Dręczy nas rozczarowanie, że na galerii widać coś gorzej niż w książce, choć niby wiemy, że reprodukcje kłamią. Dobra płyta zastępuje salę koncertową. Znamy to doskonale, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że to samo dotyczy podróży. Takich przede wszystkim, które podejmujemy – zwłaszcza my, humaniści – dla „naukowych” celów. W bibliotece, we własnym domu, nad książką ogarnia nas pragnienie dotknięcia czegoś, co potem, w bezpośrednim zetknięciu umyka, z czym nie umiemy przestawać. Zazdrościmy czasami badaczom pracującym „w terenie”, my, stale tkwiący „w gabinetach”. Myślenie i pisanie nie jest złe, potrafi być odkrywcze, ale czym innym jest odkrywanie rzeczy. To, co nazwałem zanurzeniem, prowadzi do odkrywania właśnie. Jest odkrywaniem dla siebie. Własnym zobaczeniem rzeczy, bez względu na to, co o niej powiedzieli inni i jak, na ile została już poznana. Przy wszelkich wspomnianych nawykach takie odkrywanie bywa nieomal równie trudne jak wysiłek archeologa. Zazwyczaj, tak jak on, nie jesteśmy pewni, gdzie zacząć i nie możemy przewidzieć, co wydobędziemy na powierzchnię.

Trzeba pracować nad tym schodzeniem w głąb, odsuwając na bok bezpośrednie cele, które nas do tego prowadziły. Raczej zapominać o nich. Na różne sposoby, w rozmaitych warunkach oglądałem najważniejsze maltańskie sanktuaria z „epoki świątyń” (czyli z lat około 5000–2500): Skorbę i Ta’ Hągrat, Ġgantiję, Tarxien, Mnajdrę i Hągar Qim. Dwukrotnie byłem na wystawie w Szpitalu Kawalerów Maltańskich, gdzie pokazano (na czas remontu muzeum) najcenniejsze przedmioty w wymienionych i innych jeszcze miejscach wydobyte. Z

*To, co nazwałem
zanurzeniem, prowadzi do
odkrywania. Jest
odkrywaniem dla siebie.
Własnym zobaczeniem rzeczy,
bez względu na to, co o niej
powiedzieli inni i jak, na ile
została już poznana*

początku gubiłem się, bo chciałem zapamiętać każdy szczegół. Potem, kiedy lepiej poznałem same świątynie, to same eksponaty odnalazły jakby we mnie (czy „u mnie”) swoje właściwe miejsca. I poddałem się temu w przeświadczeniu,

że nie muszę (poza tym, że nie zdołam) zapamiętać wszystkiego. Że temu, temu właśnie służą książki, katalogi i zdjęcia. Bo teraz oglądane, są jak wspomnienia i portrety osób znajomych, na tle znajomych wnętrz. Natomiast teraz i tu mam pośród tego najintensywniej, ale i najswobodniej być. Zżywać się z tym, a nie „badać” czy na pamięć uczyć się tego. Rozumienie albo poznawanie na taki sposób, inny niż czytanie i oglądanie pośrednie, polega na uchwyceniu właściwego rytmu oddechu, ruchu, spojrzenia rzeczy. Trzeba płynąć niby ze strumieniem wrażeń, bez chęci i nadziei zatrzymania wszystkiego. Ulegać temu, co nas samo niesie. Tylko wtedy pochwycimy najważniejsze, dotrzemy najgłębiej tam, gdzie zamierzaliśmy dotrzeć.

Ta podróż, bardziej niż inne, nauczyła mnie, że rzeczy wyrastają z ziemi. I że po to się wędruje, żeby zobaczyć to, dotknąć tego, skąd wyrastają z czym są zrosnięte, a więc jak rosną i jak rosnąć mogły. Kiedy poczuje się to, pojmie się zarazem, że tej „wiedzy” nie posiadziemy inaczej. Że tego nikt nam odkryć nie zdoła. Żaden pośrednik. Nikt za nas tej lekcji nie odrobi, bo musi to być lekcja nasza,

a zarazem coś, co nie należy do dziedziny studiów, ale życia. Naszego najwewnętrzniejszego życia, którego nikt za nas nie przeżyje. Musi to zrozumieć zwłaszcza ten, kto próbuje zrozumieć przeszłość, nade wszystko tę bardzo odległą.

Wiesław Juszczak

Fragment pochodzi z książki *Wędrówka do źródeł*, która ukazała się nakładem wydawnictwa słowo/obraz terytoria. Publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy.